Rok VI. 28 Stycznia 1934. Nr. 5

DZWONECZEK

NA GROMNICZNĄ

Niech wam pszczółki za wzór służą: Pracowały skrzętnie w lecie, nazbierały wosku dużo. Dziś gromnice z niego... wiecie...

O, jak świeca jasno płonie, pachną słodko złote woski...

Czy wam, dziatki, w drobnem łonie tli się cześć dla Matki Boskiej?

Kapią wosku złote łezki... Chodźcie, dziatki, z gromnicami tu do Matki tej Niebieskiej, chodźcie, dziatki, z modlitwami...

O, Gromniczna Święta Panno, Swoją łaską bezustanną wspieraj, ratuj nas w potrzebie, gdy wzywamy wiernie Ciebie.

Dziś mą duszę Tobie zlecę i gromniczną moją świecę: gdy mi śmierć już zamgli oczy, niechaj blask jej mgły rozmroczy!

P. W.

CISZEJ!...

Dzieci, uspokójcie się! Dzieci, nie hałasujcie! Dzieci, nie rozmawiajcie! — To najczęstsze napomnienia, jakie spadają na wasze głowy w domu, w szkole, w ochronce. Ale niektóre z was pytają zdziwione: Czy to nie wolno pohałasować, pokrzyczeć? Co jest w tem złego? Ponieważ nie wszystkie dzieci rozumieją potrzebę zachowania ciszy i spokoju, porozmawiamy o tem.

Byłyście, dzieci, nieraz w lesie. Zachwycałyście się jego pięknością. Podziwiałyście wspaniałe sosny, rozłożyste dęby, wysmukłe brzozy. Jagody, grzyby, orzechy dostarczały wam tyle przyjemności. A jednak coś innego wprowadzało was w podziw. To głęboka, tajemnicza cisza. Albo byłyście letnią porą na polu wśród złotych łanów zboża. Trudno oczy oderwać od pełnych kłosów. Ale czyż nie bardziej zastanawiała was cisza? A kiedy wypadło wam jechać wśród nocy, iskrzyły się gwiazdy, księżyc przyświecał. Cudnie to wyglądało. A jednak najbardziej przejmowała was cisza. Słowem, w przyrodzie — obok bujnego życia, ruchu, spotykamy wielką, uroczystą ciszę. Uczmy się więc sztuki zachowywania ciszy i spokoju od przyrody, której piękno zepsułby ciągle trwający hałas.

A zatem mówmy głosem umiarkowanym, nie podnosząc go bez potrzeby. Zachowujmy milczenie w czasie zakazanym. Unikajmy krzyków, hałasów, przeraźliwego nawoływania, nawet przy zabawie, gdyż te wrzaski i piski psują każdą rozrywkę. Zwłaszcza zachowujmy ciszę podczas nauki, kiedy praca wymaga skupienia myśli, a zresztą, hałasując, przeszkadzamy innym w pracy. Pamiętać też należy, że dzieci przebywające w ciągłym hałasie, stają się nerwowe, niespokojne, i już im trudno myśli skupić i zająć się poważniejszą pracą. Nie w ciągłej wrzawie, lecz właśnie w spokoju rozwijać się mogą talenty, urabia się charakter, w ciszy szlachetnieje dusza, i w ciszy jedynie zbliża się człowiek do Boga. *Pszczółka.*



WILKI!

Skrzy się śnieg od mrozu, skrzą na niebie gwiazdy. Zawarte drzwi w chatach, w domu siedzi każdy. Bo słychać... pod lasem głodne wilki wyją...

— Ratujże nas, ratuj, Panienko Maryjo! Drżącemi wargami modlą się dziecięta...

Wysłuchała prośby Panieneczka Święta. Wśród chat ośnieżonych jak mgiełka się słania i wilki od domów gromnicą ogania...

H. Rostafińska-Choynowska.

(Obraz, pszedstawiający Matkę Boską Gromniczną wśród wilków, malował znany polski malarz *Piotr Stachiewicz* w Krakowie).

Pierścień królowej.

Cisza wieczorna zalegała już dziedziniec zamkowy na Wawelu, gdy przez bramy w grubych murach obronnych przesuwała się w stronę miasta jakaś postać o żebraczym wyglądzie. Paru strażników zwróciło wprawdzie uwagę, iż nikt nie widział jej wprzódy wchodzącej do komnat królewskich, więc rzecz dziwna, jakim sposobem kobieta ta powraca teraz z zamku do Krakowa, lecz w chwili, gdy na skutek podejrzeń zatrzymali ją żołnierze w ostatniej bramie, wysunęła się z pod nędznego okrycia biała ręka, migająć czemś błyszczącem. Natychmiast zdziwione straże rozstąpiły się w milczeniu, a z uszanowaniem tak wielkiem, jakby miały przed sobą nie żebraczkę, lecz jakąś dostojną osobę dworską. Tymczasem tajemnicza nieznajoma śpiesznie zeszła z góry i podążyła na krańce miasta, śmiało przesuwając się w zmierzchu po wąziutkich zaułkach, jakgdyby drogi te nie były dla niej obce. Nikt jednak widocznie w tej ubogiej dzielnicy nie znał biednej żebraczki, skoro żaden z przechodniów nie zagadnął jej nawet, chociaż w owych czasach znali się wszyscy nawzajem w Kazimierzowym grodzie, a nawet i wśród dziadów poznawali każdego, choćby się tu zjawił po długiej włóczędze w innych stronach.

Zadowoloną była żebraczka, że nikt się nią nie zajmuje i szybko mijała dom za domem, tak pośpiesznie, jakgdyby nie miała jeszcze lat starych, w których już nie wstyd człowiekowi żyć z jałmużny Wkońcu weszła w uliczkę ciemną i zupełnie pustą i zapukała do jakichś drzwi niskich, za któremi zniknęła na czas długi. Kiedy zaś po godzinie wychodziła stamtąd, wyprowadzało

ją do bramy kilkoro ludzi wynędzniałych, żegnając pełnem wdzięczności wołaniem: — Bóg wam zapłać stokrotnie, dobra kobiecino...

Zaledwie znalazła się sama na drodze, poczęła szybkim krokiem, wśród coraz gęstszego zmroku, dążyć w tęsamą stronę, z której tu przybyła — to znaczy ku Wawelowi, gdy nagle doleciały ją wyraźne jęki. Przystanęła i nadsłuchiwała uważnie, poczem w jakiś ciasny zaułek wcisnęła się pośpiesznie i zatrzymawszy się nad otworem do zatęchłej piwnicy, słuch znowu natężyła. Z jękami zaczął się mieszać płacz żałosny dzieci. Nieznajoma weszła w głąb. Owionął ją chłód wilgotny, zatęchły. W zupełnej ciemnicy utykała co krok na czemś po drodze, lecz nie stanęła, dopóki nie zatrzymał jej próg malutkiej izdebki, tak nędznej, w jakiej jeszcze nigdy nie postała jej noga, mimo, że dziwna ta niewiasta zachodziła do najuboższych ludzi w mieście.

Na odrobinie słomy leżała tu ciężko chora kobieta, matka kilkorga dzieci, które właśnie z głodu kwiliły przy niej, drżąc z zimna, prawie niczem nie odziane. Najstarsza córka, dwunastoletnia dziewczynka, bezradnie załamywała ręce, nie mogąc nic poradzić ukochanej matce. Dowiedziawszy się o całem nieszczęściu, nieznajoma zwróciła się do dziewczynki: — Biegnij czemprędzej na Wawel do zamku, tam znajdziesz ratunek dla chorej matki... Tylko śpiesz się jak możesz, gdyż widzisz jak cierpi...

Dokończenie nastąpi.

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.

(Ciąg dalszy.)

Od tej chwili, chociaż tam właściwie był niejako początek celu naszej podróży, doznawałem wrażenia, że z każdym dniem przybliżam się do dalekiej Ojczyzny. Wprawdzie ją ode mnie dzielił cały jeszcze ląd Ameryki Południowej w jego najszerszem rozpięciu; wprawdzie ją dalej dzielił ode mnie cały Atlantyk niezmierzony i za nim cała jeszcze Europa, — mnie się jednak zdawało, żem się naraz zbliżać zaczął ku tej ukochanej Polsce i tej sercu tak miłej wiosce rodzinnej, zostawionej hen za Wisłą.

Więc na to, by porzucony szmat własnej ziemi odzyskać, muszę przebyć Palmal ekwadorski! Zapewnia mnie pan Stefan, że tu istny raj nas czeka... A mnie coś szepcze w duszy, że gdyby trzeba raz jeszcze przejść przez trzykroć sroższe piekło, niźliśmy mieli w Brazylji, tom na to gotów, byle przez nie wiodła droga do polskiej ziemi i polskiego nieba.

III.

Nim znaleźliśmy się na granicy Ekwadoru, spędziliśmy przeszło miesiąc w Peru, zwiedzając osobliwości przyrody tego dziwnego kraju, w którym ludzie prawie nie znają deszczu, a nie widzieli nigdy burzy. Nie chciałbym mieszkać w takim klimacie, by całemi latami błyskawic nie widzieć i nie słyszeć grzmotów. Ale znowu mieć deszcz codzień — to chyba nie może być zbyt przyjemne. A właśnie wkraczamy w świat drugiej ostateczności: mamy przebywać lasy dziewicze, gorące, ale wiecznie wilgotne, których słońce nigdy nie wysuszy, bo je codzień świeża zmoczy ulewa.

Podróżujemy we czterech: profesor i ja, oraz Fidżinos i Tahiti. Gdyby kto z sąsiadów w Borówce dwa takie nazwiska usłyszał, toby chyba nie wierzył, że mowa o ludziach. Prędzejby ten i ów przypuszczał, że wodzimy z sobą jakie dwa psy o tak cudackich imionach. Gdyby zaś widziano w Bo-

rówce naszych towarzyszów podróży, to nawet nazwisk ich nie słysząc, orzeczonoby jednogłośnie, żeśmy w zamorskich krajach kupili dwie małpy i jedną odziali w kaftan czerwony z niebieską spodnicą, a drugą w czerwoną spodnicę z niebieskim kaftanem.

Może to niеładnie z mej strony, że tak o nich piszę, ale się tem pocieszam, że mego pamiętnika czytać nie potrafi ani Tahiti w niebieskim kaftanie, ani Fidżinos w kaftanie czerwonym. Zresztą lubię ich obu i po kilku tygodniach obcowania z nimi przyzwyczaiłem się już do tych brunatnych towarzyszów naszej podróży. Ale mimo to, ile razy spojrzawszy na nich, przypomnę sobie wieś rodzinną, zawsze mi na myśl przyjdzie, że branoby ich tam za małpy. A już napewno niktby z gospodarzy nie uwierzył, że Fidżinos z Tahitim są mężczyznami, chociaż z nich każdy miecz ogromny nosi u boku. Bo jakżeż inaczej. Kaftan w sam raz, jak nosi nasza Kaśka, Maryśka, a dalej od pasa spódnica nie lepsza, nie gorsza, jak u naszych dziewek przy krowach. A już spojrz na głowę; przysiągłbyś że baba. Nie dość, że twarz goła bez wąsa, bez brody, ale jeszcze włos ukryty pod zawiązaną chustką kolorową lub kraciastą, podobniusieńką do owych chustek, jakie mojej mamie niegdyś z Łomży miała zwyczaj przywozić nieboszczka nasza dziedziczka No, tylko ta skóra z czekolady, co z pod kolorowych materyj u nich wyziera, różni Tahitiego i Fidżinosa od najciemniejszej baby z ziemi łomżyńskiej. Pamiętam jedną w Borówce, której malutkim chłopakiem okrutnie się bałem, biorąc ją za czarownicę, chociaż się bardzo słodko n. zywała, Ignasiowa. Twarz miała jak ziemia. Ale gdzież jej do Fidżinosa!

Co ja też widziałem już ludzi ras kolorowych, odkąd mieszkam na drugiej półkuli. Zaraz po przyjeździe do Brazylji spotykałem czerwonoskórych Indjan i czarnych jak smoła Murzynów. Lecz rasę malajską, znaną mi przedtem jeno z kolorowych rycin, poznałem dopiero u wybrzeży oceanu Wielkiego. Kiedyśmy, mając wylądować w Peru, przybyli do portu Callao, otoczył nas zaraz tłum o twarzach tak kolorowych, jakiego jeszcze nigdzie nie widziałem. Wśród Murzynów i Chińczyków, oraz rozmaitych mieszkańców peruwiańskich, zobaczyłem tam właśnie Malajczyków. Skąd oni się wzięli w Ameryce, skoro mieszkają w Indjach Wschodnich i na wyspach azjatyckich, a oprócz tego jeszcze tylko w Polinezji? Chcąc na to odpowiedzieć, trzeba widzieć zbiorowisko ludzi wszelkich narodowości, jakie się gromadzi na targu portowym w Callao. Słyszałem, że znajdzie się tam rozbójników, do których nie chce się już żaden kraj przyznać. Co ci ludzie tam robią? Współzawodniczą z Chińczykami, jako tak zwani „kuli“, w najmowaniu się do wszelkiej możliwej służby. *C. d. n.*

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Szarada

Od początku, czy od końca, idąc ku środkowi —
Imię będzie, jedno z wielu, zdatne chłopczykowi.
Zaś od środka ku przodowi, czy też ku końcowi,
Zawsze jedna rzecz się zwinie, bądźcie więc gotowi.
Bo początek, jak i koniec — niema w nich różnicy.
Zatem szkoda dużo czasu myśleć po próżnicy.
Całość znowu daje imię, ale już dziewczynki,
Może nawet — któż to powie — jakiejś twej kuzynki.

Rozwiązanie zagadek z numeru 3-go.

Szarada: Kasza. **Zagadka literowa:** Narty-karty. **Zagadka:** Żak, tak, hak, jak, sak, lak, mak, rak. **Łamigłówka:** Sos, osa, sas.